

MACIEJEWSKA I.Z.A

*Anioły są wśród nas.
Nie podcinajmy
im skrzydeł.*



Mój
Aniele



Magnolia

Mój
Aniele

MACIEJEWSKA
IZA

Mój
Aniele



Magnolia

[Kup książkę](#)

*Anioły są wśród nas.
Nie podcinajmy im skrzydeł.*

„Mam świadomość, że jeśli to zrobię, będę się nienawidzić do końca życia. Mam świadomość, że mogę już nigdy więcej nie chcieć spojrzeć w lustro, a moimi jedynymi towarzyszami będą wstyd i upokorzenie.

Wiem też, że jeśli tego nie zrobię, stracę ją. Naprawdę ją stracę”.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kamil

– Proszę przyjąć najgłębsze wyrazy współczucia.

Usłyszałem dzisiaj to zdanie kilkadziesiąt razy. Nie jestem w stanie zliczyć, ile dłoni uściśnieło moją dłoń ani ile razy zostałem poklepany po plecach i zapewniony o bezgranicznym wsparciu, na jakie mogę liczyć o każdej porze dnia i nocy. Na wszystkie współczujące słowa odpowiadałem kiwnięciem głowy, co w moim odczuciu było satysfakcjonujące dla zainteresowanych. Ludzie nie wiedzieli, jak mają ze mną rozmawiać, a ja im tego nie ułatwiałem. Do mnie i do mojej wciąż zszokowanej głowy nie docierały żadne formy wsparcia od tych, którzy patrzyli na mnie ze współczuciem, szepcząc między sobą, jaki to ja teraz biedny jestem i co by tu zrobić, żeby mi pomóc. Wiedziałem, że w większości przyszli tu po to, żeby pokazać mi, że się ze mną solidaryzują, i nawet jeśli nie znali mnie osobiście, to i tak chcieli okazać mi swoje wsparcie. Bo przecież komuś, kto stracił dziecko, należy współczuć. Trzeba też rozmawiać o jego stracie podczas śniadania, na przerwie w pracy, gdy się odbiera dzieci ze szkoły czy też na przystanku autobusowym. Trzeba mieć wtedy w sobie poczucie smutku i absolutnie nie można być w stanie wyobrazić sobie, co by się czuło na miejscu tego człowieka.

Tylko że ja nie chciałem żadnego współczucia. Nie potrzebowałem ani troski, ani obecności tych wszystkich ludzi. Nie chciałem też kiedykolwiek spotkać mojej żony. Nie chciałem, żeby miała wtedy na sobie tę zieloną sukienkę i uśmiechała się do mnie zalotnie. Nie chciałem do niej podejść i powiedzieć jej, że jest najpiękniejszą dziewczyną na tej imprezie. Nie chciałem się w niej nigdy zakochać i mieć z nią dziecka. Gdyby to wszystko się nie zdarzyło, nie byłoby tego dnia. Nie byłoby tego bólu. Nie byłoby tej trumny.

Byłem wręcz pewien, że część osób obecnych w kościele była po prostu ciekawa, jak wyglądają rodzice pogrążeni w żałobie po stracie dziecka. Czy będą krzyczeć podczas pogrzebu? Czy będą wskakiwać do grobu? Czy matka lub ojciec zemdleją? Gdybym tylko mógł, wypieprzyłbym stąd ich wszystkich, bo uważałem, że akurat to by mi w tym momencie bardzo pomogło. Gdybym tylko mógł, wykrzyczałbym im, że gówno wiedzą o moim bólu. Gówno! Ale nie mogłem tego zrobić. Nie mogłem, bo nie byłem w stanie wydusić z siebie nawet jednego zdania. Nawet jednego słowa.

Gdy ostatnia osoba, która podeszła, aby złożyć mi kondolencje, odwróciła się do mnie plecami, zacisnąłem dłonie i zęby i skierowałem wzrok na białą trumienkę, która stała na katafalku. Nogi miałem jak z waty, w moim żołądku grasał wstrętny potwór, który wykręcał mi jelita na wszystkie możliwe strony, chcąc wymusić wymioty, a w głowie huczało od najróżniejszych myśli. Jednak mimo tego, co działo się z moim ciałem i umysłem, stałem wyprostowany niczym struna i sprawiałem wrażenie opanowanego. Coś mi szeptało, że właśnie to wrażenie było w tym momencie najważniejsze. Patrzyłem na trumienkę i myślałem o chłopcu, w którego piersi

od dwóch tygodni biło serce mojego zmarłego synka. Wydawało mi się, że do moich uszu docierają rytmiczne uderzenia, które tak bardzo przypominały bicie dziecięcego serduszka. Byłem wręcz pewien, że słyszę śmiechy rodziców tego dziecka. Niosły się echem po wnętrzu kościoła. W mojej głowie stawały się one do tego stopnia prawdziwe, że potrafiłem wyobrazić sobie tych ludzi. Szczęśliwych, uśmiechniętych, wdzięcznych za to, że ich syn żyje.

Zastanawiałem się, czy myślą o moim dziecku. Czy są w stanie cieszyć się, mając świadomość, że gdzieś w świecie jest ktoś, kto stracił sens swojego życia? I że tylko dzięki tej stracie oni mogą być szczęśliwi. Zastanawiałem się nad tym, czy ci ludzie w ogóle zasłużyli na ten dar i czy będą potrafili zaopiekować się serduszkiem mojego synka.

Powiedziano mi, że to był rówieśnik Krzysia i że wyrażenie zgody na pobranie organów dało mu szansę na dalsze życie. Tylko że ja nie potrafiłem wierzyć w to, że śmierć mojego dziecka nie była taka do końca bezsensowna i że przez ten nieszczęśliwy wypadek czyjeś dziecko może cieszyć się życiem. Myśl ta była równoznaczna z moim bólem, ze stratą i z pustką, jaką odczuwałem, oraz z tym, że miałem już nigdy więcej nie przytulić syna. Ta straszna prawda nie dotarła do mnie w momencie, w którym wyrażałem zgodę na pobranie organów, ani nawet w chwili, gdy po raz ostatni patrzyłem na mojego synka „oddychającego” dzięki respiratorowi. Wtedy czułem się jak robot, który wykonuje to, do czego go zaprogramowano. Czego się od niego oczekuje. Nie było w tamtym momencie żadnego „jutro” czy też „za tydzień”. Czas jakby się zatrzymał. Tak naprawdę to dopiero gdy wyszedłem ze szpitala i spojrzałem ponownie na jego rozległy gmach, dotarło do mnie to, co się stało.

Dziecko, które straci rodzica, staje się sierotą. A kim byłem ja? Kim staje się rodzic, który traci dziecko?

Każdy skrawek mojego ciała krzyczał do mnie, że nie jestem już ojcem. Że nie będę już nigdy obchodził Dnia Ojca ani kupował prezentów z okazji Dnia Dziecka. Już nie wejdę do naszego wiejskiego sklepu po lizaka.

Minął mnie samochód. Później zobaczyłem rowerzystę, a potem przechodnia, który rozmawiał przez telefon. Słyszałem śmiech tego człowieka, cichnący z każdym jego oddalającym się krokiem. Mojego synka już nie było, a dookoła mnie dalej toczyło się życie. To było straszne. Jak ci ludzie mogli się śmiać, kiedy ja byłem tak cholernie zasmucony? Kto dał im prawo do bycia szczęśliwymi?

Gapilem się na budynek szpitala i zastanawiałem nad tym, czy moja decyzja o zgodzie na donację była słuszna. Bo co, jeśli Krzysia można było jeszcze uratować? Co, jeśli lekarz się pomylił? Jeśli była jeszcze jakaś nadzieja? Przecież czasem ci mądrzy doktorzy się mylą. To tylko ludzie...

– Dobrze postąpiłeś – usłyszałem jakiś głos. Brzmiał bardzo obco. Nawet nie dotarło do mnie, że to był mój własny głos. Chciałem mu wierzyć. Pragnąłem tego, bo jakakolwiek inna reakcja by mnie zabiła. Jeszcze bardzo długo patrzyłem na rozświetlony szpital i myślałem o moim synku.

Krzyś już nigdy niczego nie rozleje, nigdy nie nałoży na twarz mojej pianki, żeby udawać, że się goli, nigdy też nie usłyszę od niego, że nie lubi tego zielonego, co pływa w zupie. Nie zobaczę, jak dorasta, robi prawo jazdy i po raz pierwszy się zakochuje. Nie pójdzie na studia albo do wojska, o czym tak bardzo marzył. Bo chciał być jak jego tata.

Chociaż tyle, pomyślałem, chociaż tyle. Nie będzie takim nieudacznikiem jak ja.

Nim wróciłem do domu, pojechałem do mojej mamy, żeby jej o wszystkim powiedzieć. To było straszne. Chciałbym zapomnieć o jej reakcji, o jej łzach i o krzyku, który sprawił, że do drzwi jej mieszkania zapukała zatroskana sąsiadka. Potem to już obie płakały. Sąsiadka obiecała, że zaopiekuje się mamą, ja obiecałem, że będę dzielny, a mama chciała jechać ze mną do domu. Koniec końców zrozumiała, że chcę być sam. Zapytała tylko, co z Magdą.

– Nie wiem – odpowiedziałem. Gdy wychodziłem ze szpitala, mojej żony już tam nie było. – Nie chcę o tym teraz rozmawiać. Nie dzwoń do niej. Daj jej spokój.

Aż dziw, że byłem w stanie wrócić do domu. Że mogłem prowadzić auto. Że jeszcze żyłem.

Rano ktoś przywiózł Magdę do domu. Od razu zamknęła się w pokoju naszego synka. Wychodziła stamtąd tylko po to, aby skorzystać z toalety. Nie miałem pojęcia, czy cokolwiek jadła. Pewnie nie, pewnie tak jak i ja nie mogła nic przełknąć. Nie chciałem z nią rozmawiać. Nie chciałem na nią patrzeć. Nie zastanawiałem się nad tym, co będzie potem. Czyli po pogrzebie. Tak naprawdę to nie chciałem, żeby ten pogrzeb się odbył, jakby to miało sprawić, że czas się zatrzyma. Nie odbierałem telefonu, który ciągle dzwonił. Nie podchodziłem do drzwi, do których co chwilę ktoś się dobijał. Nie odpowiadałem na krzyki, które dobiegały z ulicy, bo ktoś stał pod oknem i w taki sposób próbował się ze mną skontaktować. To trwało cztery dni. Cztery dni patrzenia w sufit albo w ścianę, cztery dni rwanego snu, cztery dni utwierdzania się w pewności, że nie mam już syna. Ani żony.

I w dalszym ciągu nie wiedziałem, kim jestem.

Piątego dnia musiałem wstać. Musiałem zająć się pogrzebem. Kawa, którą piłem, była paskudna, ale postawiła mnie

na nogi. Zapukałem do pokoju Krzysia. Gdy odpowiedziała mi cisza, zapukałem po raz kolejny. Usłyszałem stłumione dźwięki dochodzące z pomieszczenia. Odsunąłem się, żeby nie zaglądać do środka. Żeby nie widzieć tego najbardziej kolorowego miejsca w tym domu. Magicznej krainy pełnej dinozaurów, koparek i pluszowych misiów. Po chwili w drzwiach stanęła Magda. Miała na sobie to samo ubranie, w którym widziałem ją ostatnim razem, w tym przeklętym dniu. Jej włosy były tłuste, oczy i twarz zaczerwienione. W ciągu tych paru dni postarzała się o kilka lat. Tak jak i ja. Odruchowo zrobiłem krok do przodu. Chciałem ją przytulić. Nie planowałem tego. Tak poczułem. A może to ja potrzebowałem przytulenia?

– Nie zbliżaj się do mnie! – warknęła.

Posłuchałem. Patrzyliśmy na siebie, każde z innym nastawieniem. Nienawiść kontra obojętność, rozpacz przeciwko rezygnacji, gniew przeciw destrukcji. Przynajmniej ja właśnie tak to odebrałem. Coś się zaczęło we mnie wypalać. Coś przestawało istnieć. Coś? Doskonale potrafiłem to nazwać.

Miłość do Magdy.

– Trzeba zająć się sprawami pogrzebowymi. Chceszjechać ze mną? – zapytałem. Musiałem.

– Nienawidzę cię! – powiedziała roztrzęsionym głosem. – Jesteś rzeźnikiem, który pozwolił pokroić własne dziecko! Przez to, że pobrano od niego organy do przeszczepu, on nigdy nie trafi do nieba! I to będzie tylko twoja wina! Ale sprawiedliwość też cię kiedyś dopadnie! Będę się o to codziennie modliła!

Nim zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, napłuła mi w twarz. Słyszałem, jak płakała. Odczekałem jeszcze godzinę i wyjechałem z domu. Jak się potem okazało, kiedy ja

załatwiałem sprawy związane z pogrzebem, ona ograbiała mnie z resztek namacalnych wspomnień o Krzysiu. Zabrała wszystko, co było z nim związane, i się wyprowadziła. Spotkaliśmy się dopiero na pogrzebie, do którego przygotowania nie przyłożyła ręki. Nie miałem jej tego za złe. Było mi to obojętne. Ona była mi obojętna. Mój świat przestał istnieć.

Z domu zniknęły zdjęcia, rysunki, zabawki i ubranka Krzysia. I kamienie, które kolekcjonował, bo czuł taką potrzebę. Z każdej misji przywoziłem mu kamyk o wyjątkowym kształcie i kolorze. Każdy z tych kamieni miał swoje imię. O każdym z nich Krzyś potrafił opowiedzieć cudowną historię. Nienawidzę kamieni. Szczególnie tych, które odbierają życie siedmioletnim chłopcom.

Nim przyjechałem do kościoła, pojechałem do zakładu pogrzebowego. Chciałem pożegnać się z moim synkiem bez świadków. Leżał w trumience i wyglądał, jakby spał i lada moment miał przetrzeć piąstkami zaspane oczka, otworzyć je i wykrzywić usta w uśmiechu, a potem opleść chudziutkimi ramionkami moją szyję i zacząć się ze mną siłować. Jak co rano. Taki mieliśmy rytuał. Czekałem, aż to się stanie. Czekałem, aż zacznie się śmiać i powie:

– Tatusiu! Ścigamy się do łazienki? Na pewno wygram!

Nic takiego się jednak nie stało. Nawet nie drgnął. Błady, cichy, zupełnie jak nie on. Przecież ten dzieciak zawsze miał coś do powiedzenia. Zawsze. Krzyś miał na sobie granatowy sweterek, tego samego koloru spodnie, białą koszulę i muszkę. Drżącymi dłońmi włożyłem mu do trumny jego ukochanego pluszaka, kolorowego królika uszytego ze skrawków materiałów. Była to rzecz, której Magda nie wzięła, ponieważ od razu po powrocie ze szpitala zabrałem

ją do swojego pokoju. Przywiozłem tego króliczka z misji. Kupiłem maskotkę od dziewczynki, która uszyła ją własnoręcznie. W taki sposób zarabiała na chleb dla swojej rodziny. Pomyślałem sobie wtedy, że może to będzie taka przechodnia zabawka i mój syn podaruje ją kiedyś swojemu dziecku, mówiąc, że to dziadek Kamil kupił ją dawno temu. Pamiętam, że ta myśl sprawiła mi ogromną radość. Krzys nie rozstawał się z królikiem praktycznie wcale, co bardzo mocno odbiło się na wyglądzie przytulanki, a ja jakoś tak w tym całym swoim smutku poczułem, że on chciałby, aby ten pluszowy przyjaciel był z nim. Żeby opiekował się moim synkiem do czasu, aż będę mógł zrobić to sam. Gdy już spotkam się z nim po drugiej stronie. Pogłaskałem Krzysia po włosach i zatrzymałem dłoń na jego zimnym i bladym policzku. Patrzyłem na moje dziecko i myślałem jedynie o tym, że również chcę umrzeć. Zasłużyłem na to.

Zawiodłem jako ojciec. Zawiodłem jako człowiek. Po prostu – zawiodłem.

– Jeszcze chwila i znowu będziemy razem – wyszeptałem. Tak bardzo chciałem, żeby mój synek usłyszał te słowa. – Jeszcze kilka dni i do ciebie przyjdę. I znowu będziemy mogli puszczać latawiec...

Nie byłem w stanie zdobyć się na więcej, bo wielka gula zaczęła wypełniać moje gardło. Czułem, jak dłonie mi się trzęsą, czułem, że po twarzy spływają mi łzy, a w żołądku wzbiera żółć, która potrzebuje się ulotnić. Przez moją udreżoną głowę przemknęła myśl, że gdybym w tym momencie miał przy sobie broń, przyłożyłbym ją do skroni, strzelił i zakończył to wszystko. Zamiast tego pochyliłem się i pocałowałem synka. Łza z mojego oka spłynęła na jego twarz, ale nie stało się nic magicznego. On cały czas był martwy.

To nie była pieprzona bajka Disneya z „żyli długo i szczęśliwie” na końcu.

Uniosłem głowę i patrzyłem na moje dziecko, aż w końcu odchyliłem sweterek i koszulę, które Krzyś miał na sobie. Długa rana na jego klatce piersiowej dobitnie uzmysłowiła mi, że to naprawdę koniec. Że tam już nic nie ma. Że to ostatnie chwile, kiedy widzę ciało mojego synka. Oparłem czoło na jego czole i zacisnąłem pięści. Przełknąłem to, co ścisnęło mnie w gardle, i ledwo panując nad swoim głosem, powiedziałem:

– Przepraszam. Przepraszam, że tak się stało. Przepraszam, że nie pozwoliłem ci żyć. Przepraszam, że cię zawiodłem.

Jedyną odpowiedzią na moje słowa była martwa cisza.

Po wyjściu z zakładu pogrzebowego musiałem zapalić papierosa. Rzuciłem, kiedy dowiedziałem się, że zostanę ojcem, ale teraz paliłem dwie paczki dziennie, a hasła znajdujące się na opakowaniach – te o bezpłodności, a także o raku, udarze i innych chorobach powodujących zgon – nie robiły na mnie wrażenia. To był tylko podkład dla śmierci, która miała niebawem nadejść. Wcześniej jednak musiałem pochować syna. Byłem mu to winny. Tak bardzo winny... Gdybym wtedy nie zabrał go do ogrodu, żeby popuszczać latawiec, gdyby Krzyś nie powiedział mi o tym, co tak bardzo zajmowało jego siedmioletnią główkę, gdybym się nie wściekł i nie zaczął biec, on nie pobiegłby za mną. Nie potknąłby się i nie uderzył głową w kamień. I nadal by żył.

To ja byłem odpowiedzialny za jego śmierć i musiałem ponieść karę.

Stałem w kościele pełnym ludzi, ale tak naprawdę miałem wrażenie, że zostałem na tym świecie sam. Mimo że mojego ramienia kurczowo trzymała się moja mama, Elżbieta, to

nigdy w życiu nie czułem się bardziej samotny niż w tym momencie. Przekręciłem głowę w lewą stronę i mój wzrok spotkał się ze wzrokiem mojej żony. To było nasze pierwsze spotkanie od jej wyprowadzki. Pomyśleć, że jeszcze dwa tygodnie temu była największą miłością mojego życia. Moją pierwszą i jedyną miłością. Okazała się również największą porażką. Zastanawiające jest to, że byłem tak ślepy i nie domyśliłem się, że miała romans z moim najlepszym przyjacielem. Mniej zastanawiające było to, że kiedy o tym pomyślałem, usłyszałem w głowie głos Krzysztofa Krawczyka:

„Mój przyjacielu, byłeś mi naprawdę bliski. Mój przyjacielu, wiesz, że byłeś mi jak brat. Dałem ci wiarę, dałem ci spokój. Dałem gitarę, dałem samochód. Żony nie dałem, żonę wzięłeś sobie sam”.

Kiedy na nią patrzyłem, ubraną w czerń i stojącą po drugiej stronie trumienki, widziałem w jej spojrzeniu odrazę i nienawiść. Widziałem tam zło, które potrzebowało, aby ktoś ciągle je dokarmił. Podejrzewałem, że wzięła leki uspokajające. Czułem, że ledwo powstrzymywała się przed tym, żeby do mnie podbiec, zacząć okładać pięściami i, kto wie, pewnie znowu napluć mi w twarz. Spojrzenia jej rodziców, którzy stali obok córki, wyrażały dokładnie to samo. A jeszcze miesiąc temu byłem z teściem na rybach. Nazywał mnie swoim ulubionym zięciem. Nie miał wyjścia, bo miał tylko jedną córkę.

W końcu opuściłem głowę, ale nie dlatego, że ukorzyłem się pod wpływem nienawistnego wzroku tych ludzi. Po prostu już nie chciałem na nich patrzeć. Już nie chciałem patrzeć na Magdę. Nie czułem do niej nienawiści ani żalu. Nie czułem nic. To nie było tylko wrażenie, ale te dziesięć wspólnie spędzonych lat przepadło tak szybko, jak szybko

pstryka się palcami, a pogrzeb naszego synka miał być gwoździem do trumny. Prawdziwej.

Gdy znaleźliśmy się na cmentarzu i gdy ksiądz skończył swoją przemowę, a ostatnie bryłki piachu przykryły trumienkę, zrozumiałem, że stałem się ciałem bez duszy. To był ten moment, w którym dotarło do mnie, że nikomu nie jestem już potrzebny. Byłem kompletnie głuchy na błagania mojej mamy, która ze łzami w oczach prosiła, żebym przeprowadził się na jakiś czas do niej.

Nie chciałem tego. Potrzebowałem zostać sam. Potrzebowałem zatopić się w smutku. I w winie.

Kiedy już znalazłem się w domu, z dala od natarczywych i współczujących spojrzeń, wyjąłem z szafki trzydziestoletnią whisky. Dostałem ją od Roberta. Tego samego, który przywłaszczył sobie moją żonę i który nie miał dziś odwagi pojawić się w kościele. A może był tam, tylko chował się przede mną ze wstydu lub ze strachu? Naprawdę mnie to nie obchodziło. W sumie bardzo się sobie dziwiłem, że zachowuję taki spokój. Przecież byłem furiatem, a najlepszym dowodem na to był fakt, że kiedyś, w porywie zazdrości, pobiłem trzech facetów, bo ubzdurałem sobie, że jeden z nich przystawiał się do Magdy. Wlewając w siebie alkohol, doszedłem do wniosku, że być może wcale sobie tego nie wymyśliłem, tylko moja żona zrobiła ze mnie idiotę. Krztusiłem się, ale nie odrywałem ust od butelki. Byłem zachłanny i spragniony. I chyba trochę też chciałem się utopić. W końcu, gdy opróżniłem całą, rzuciłem nią o ścianę. Do moich uszu dotarł dźwięk tłuczonego szkła, a w moim sercu pojawiła się chwilowa satysfakcja wynikająca z tego, że zniszczyłem butelkę, która była prezentem od Roberta. Jednak to uczucie szybko zostało zastąpione innym.

Obojętnością. Czułem, że się zaprzyjaźnimy.

Mój telefon co chwilę informował mnie o tym, że ktoś próbuje się ze mną skontaktować. Na wyświetlaczu mignął mi niewyraźny napis „Mama”. Zignorowałem to. Ledwo widząc coś więcej niż czubki własnych butów, wyszedłem z domu i skierowałem się do ogrodu. Zrobiłem to pierwszy raz od dnia, kiedy śmigłowiec HEMS zabrał stamtąd Krzysia.

Wtedy jeszcze wierzyłem. Jeszcze miałem nadzieję.

Kiedyś, gdy nie miałem problemów, które zaprzętałyby moją głowę, zastanawiałem się, jak długo ktoś musi nad sobą pracować, żeby się zmienić. Uznałem, że może to trwać nawet latami, że to proces polegający na zrozumieniu wielu spraw. Byłem w błędzie. Człowiek może się zmienić w ciągu paru chwil. Uczucia takie jak miłość, radość i szczęście, które przecież nie były mi obce, opuściły mnie w momencie, w którym dotarło do mnie, że Krzys nie żyje. To trwało kilka sekund.

Szedłem przed siebie, chociaż czułem, że moje nogi z największą ochotą obrałyby zupełnie inny kierunek. Prawa poszłaby w lewo, lewa ruszyłaby w prawo. Albo odwrotnie. Potknąłem się kilka razy. Stanąłem. Kręciło mi się w głowie, więc przez chwilę patrzyłem na swoje stopy. A potem, gdy nieco przyzwyczailem się do tej karuzeli, na której wirowałem, uniosłem głowę. Zobaczyłem go. Nasz latawiec. Ten sam, który wtedy puszczaliśmy ja i Krzys. Zaplątał się w gałęziach gruszy, gdy wypuściłem linkę z rąk i pobiegłem do leżącego w trawie synka. Gdy tak patrzyłem na ten latawiec, wpadł mi do głowy pomysł, który postanowiłem od razu zrealizować. Chciałem wejść na drzewo, ściągnąć go i zanieść na grób Krzysia. Nawet przez chwilę nie pomyślałem o tym, że pijany człowiek nie powinien wchodzić na drzewa, uznałem

wręcz, że to idealny moment na taką wspinaczkę. Udało mi się wdrożyć w życie tylko jedną trzecią planu, bo w momencie, w którym moja dłoń zacisnęła się na latawcu, usłyszałem coś, co sprawiło, że zabrakło mi tchu.

– Tato!

Odwrociłem się w stronę, z której dobiegał głos. Zobaczyłem go. Zobaczyłem mojego syna. Stał na polanie i machał do mnie. Uśmiechał się.

– Krzysiu... synku...

Chciałem przetrzeć oczy, żeby sprawdzić, czy to naprawdę on, czy może jednak to mi się tylko przywidziało.

On tam był! Machał do mnie!

Wyciągnąłem rękę w jego stronę.



ROZDZIAŁ DRUGI

Aniela

– O czym myślisz? – zapytała mnie moja przyjaciółka Gosia, prowadząc auto.

– Zastanawiam się, jak będzie wyglądał najbliższy rok mojego życia – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – To naprawdę niecodzienna sytuacja, że przez dwanaście miesięcy mam się opiekować człowiekiem, którego w życiu na oczy nie widziałam, i w dodatku z nim mieszkać. I jak ci już wcześniej wspominałam, trochę jednak stresuje mnie to, że jest żołnierzem. Ja już chyba zawsze będę miała uraz do ludzi z tej grupy zawodowej.

– Nie każdy żołnierz jest taki, jak twój były.

– Naprawdę nie musisz mi przypominać o tym, jak bardzo fatalny mam gust do mężczyzn – powiedziałam, a potem zaczęłam się śmiać. Teraz już potrafiłam. Potrzebowałam jednak wielu miesięcy, aby dojść do siebie po dwuletnim horrorze, jaki zaserwował mi mój były mąż, człowiek posiadający stopień kapitana Wojska Polskiego.

– Nie masz fatalnego gustu. Fatalny był on – wycodziła Gosia, a potem zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów. Gdy już uszły z niej emocje wywołane wspomnieniem Rafała, mojego byłego męża, dodała swoim śpiewnym głosem: – Maurycy zna Kamila i za niego ręczy. Zresztą nie

sądzę, żeby w stanie, w jakim obecnie jest, ten człowiek w jakikolwiek sposób ci zagroził. Oczywiście liczyć się z tym, że nie będzie słodko pierdząco i pewnie jakiś opór z jego strony się pojawi, ale jestem pewna, że sobie z tym poradzisz – powiedziała Gosia, a ja miałam wrażenie, że w jej głosie usłyszałam lekkie wahanie. Ale to pewnie tylko mi się wydawało.

Nie wydawało mi się, ale o tym później.

– Wiesz, Gośka – powiedziałam do niej – ja na twoim miejscu uważałabym z ocenianiem ludzi. Mój były uchodził za najlepiej oszlifowany diament w całej jednostce. Uosobienie cnót wszelakich, wzór godny naśladowania, szanowany przez kolegów. A po godzinach pracy był katem. Tylu ludzi nabrało się na jego urok. Ja kiedyś też. Pozwolisz, że jednak na tej robocie nie będę się rozstawiała z gazem pieprzowym?

– Pozwolę, ale jeśli Maurycy mówi, że ten człowiek jest dobry, to tak jest. Maurycy naprawdę zna się na ludziach. Ta ręka – Gośka pomachała w powietrzu swoją prawą dłoń – za to ręczy, a ja dałabym sobie ją uciąć za intuicję mojego męża. To znaczy za jej nieomyślność.

– Parafrazując klasyka, dawno temu ja też zaufałam pewnemu mężczyźnie. I też wtedy dałabym sobie za niego rękę uciąć. I wiesz co? I bym teraz, brzydkie słowo sobie tu wstaw, nie miała ręki. – Popatrzyłam wymownie na przyjaciółkę.

Gosia głęboko westchnęła i powiedziała:

– Wiem. Ty sama musisz przekonać się do tego człowieka. On naprawdę wiele wycierpiał. W krótkim czasie stracił syna i rozstał się z żoną. No i jeszcze ten upadek z drzewa. Miał naprawdę ogromne szczęście, że nie skręcił sobie karku i nie skończyło się tragicznie. Złamana ręka i noga to naprawdę w tym przypadku cud. Podobno chciał ściągnąć latawiec, którym bawił się z synem. Byłam na pogrzebie tego

chłopca. – Znowu westchnęła, tym razem tak, jak wzdychają ludzie, którym jest cholernie przykro. – Jeszcze nigdy nie byłam na pogrzebie dziecka. Gdy patrzyłam na Kamila pochylonego nad grobem, miałam wrażenie, że stoi tam tylko jego ciało, bo duszy to już tam nie było. Jakby coś wyszło z niego życie. Po wszystkim, gdy przykryto grób kwiatami, do nikogo nie podszedł, z nikim nie rozmawiał, nawet ze swoją mamą, a i ludzie jakoś, no nie wiem, chyba bali się do niego podejść. On po prostu wsiadł w auto i odjechał. Cały czas mam przed oczyma jego zgarbione plecy. Nie chcę załżmieć źle, ale gdy patrzyłam na matkę tego dziecka, odniosłam wrażenie, że od niej biła nienawiść. Nie oceniam jej jednak, bo nie jestem w stanie wejść w buty tej kobiety i przejść w nich chociażby dziesięciu metrów. – Gosia na chwilę zamilkła, a potem poklepała mnie po udzie i powiedziała: – Aniela, ty jesteś złota kobieta. Ty potrafisz pokazać człowiekowi, że życie jest piękne. Jesteś cierpliwa i pomimo gówna, jakie cię w życiu spotkało, nosisz głowę wysoko. Jednak bardzo cię proszę, miej świadomość, do jakiego domu wchodzisz. Miej też świadomość, że to nie będzie łatwe zadanie. Wiedz również, że ani ja, ani Maurycy nie wyobrażamy sobie nikogo innego na twoim miejscu.

– Mam tę świadomość. Mam również świadomość, że ta praca pomoże mi w rozwiązaniu problemów, których nabyłam się między osiemnastym a dwudziestym siódmym rokiem życia. No, przynajmniej części z nich – powiedziałam i zerknęłam przez szybę.

Jechałyśmy przez las, co mnie uspokajało. Pomimo tego, że miałam pewne obawy co do nowej pracy, to konieczność zamieszkania na wsi bardzo mi się podobała. Świadomość

posiadania trzech opakowań gazu pieprzowego, które miałam w torebce, też działała na mnie kojąco.

– Twoje kwalifikacje zawodowe jednak się jeszcze na coś przydadzą – spuentowała Gosia, co wyrwało mnie z zamyślenia.

Byłam rehabilitantką i pielęgniarką, tylko że zostałam dyscyplinarnie zwolniona z pracy, gdyż usłużny były mąż powiedział, że jeśli ośmielę się od niego odejść, to mnie zniszczy. Poszło mu całkiem nieźle, a na potwierdzenie dodam, że dopiero jakieś pół roku temu przestałam brać psychotropy, dzięki którym nie bałam się zasypiać. Z pracy wyleciałam, ponieważ kilka „życzliwych” osób, zapewne zmotywowanych przez mojego byłego, złożyło na mnie donosy, jakobym znęcała się nad pacjentami.

– Biorąc pod uwagę to, że toczę walkę z biedą, jest mi o wiele łatwiej podejmować tak odważne decyzje, jak chociażby praca u całkowicie obcego mężczyzny – powiedziałam. – Jaka ulga, że połamano. Tak, wiem. Moje poczucie humoru bywa paskudne.

– Jesteś mu naprawdę potrzebna. Ja i Maurycy uznaliśmy, że tylko ktoś, kto nie jest z nim związany emocjonalnie, będzie potrafił do niego dotrzeć. Z wiadomych względów jego mama odpada, bo raz, ta kobieta jest bardzo schorowana, a dwa, chociaż strasznie kocha swojego syna, to nie byłaby w stanie mu pomóc. Ona musi też dbać o siebie, a on musi chcieć żyć. Natomiast ty jesteś mu potrzebna po to, aby na nowo zaczął doceniać życie. Dokładnie tak, jak pomogłaś mojej mamie. To dzięki tobie ona się do mnie odezwała. Tylko dzięki tobie.

– Nieprawda – zaoponowałam, chociaż wiedziałam, że jednak sporo w tym racji i gdyby nie moje dociekania, pani

Danuta odeszłaby z tego świata pokłócona z córką, czego zapewne ani jedna, ani druga nie byłyby sobie w stanie wybaczyć.

– Prawda. Natomiast co do twoich problemów, to dobrze wiesz, że ja i Maurycy i tak możemy, a nawet chcemy ci pomóc finansowo – tłumaczyła Gosia, a potem dodała coś, co słyszałam już kilkanaście razy. I to tylko w zeszłym miesiącu, bo łącznie to będzie kilkaset. Dziś usłyszałam to już po raz drugi. – Możemy ci pożyczyć pieniądze, żebyś mogła opłacić porządnego adwokata i miała szansę w walce z tym dupkiem. Wcale nie musiałabyś się śpieszyć z oddawaniem. Wcale. I tak, doskonale wiem, że już wystarczająco ci pomogliśmy, a ty nie chcesz się zadłużać, ale...

Przerwałam jej, zanim po tym „ale” pojawiłyby się inne słowa, bo wiadomo, że to, co było przed, już nie będzie się liczyło.

– Mówiłam ci, w jakie problemy wpadł mój tata przez to, że ciągle pożyczał pieniądze. Raz się przemogłam i wzięłam kredyt, żeby zapłacić adwokatowi. Dopiero niedawno spłaciłam zobowiązania wobec banku. Nigdy więcej nie pożyczę od nikogo pieniędzy. Nigdy. Nawet od ciebie, chociaż kocham cię jak matkę.

– Różnica wieku między nami świadczy o tym, że urodziłabym cię, mając dziesięć lat. Tak że racz nie nazywać mnie swoją matką – powiedziała Gosia i zaczęła się śmiać.

– Nie takie rzeczy historia widziała – odparłam. – Tak czy siak, kocham cię jak matkę, której nie pamiętam. Maurycego też kocham. To, że was mam, jest jedną z najlepszych rzeczy, jaka mnie w życiu spotkała. Ale już wystarczająco nadużyłam waszej gościnności. W szczególności waszego pokoju gościnnego. To po pierwsze. Po drugie, wasze pieniądze mają zostać przepieprzone na roczną podróż po świecie.

– Aniela, wiedz, że Maurycy to mi codziennie taką podróż funduje z kuchni do sypialni, że ja naprawdę nie muszę nigdzie jechać. Po co mi Bora-Bora, skoro mam bara-bara?

– Żeby mieć bara-bara na Bora-Bora. Marzyłaś o tym wyjeździe. Ja naprawdę sobie poradzę. Jak zawsze.

– Nawet nie masz pojęcia, ile razy chciałam zatrudnić adwokata bez twojej wiedzy. Wkurza mnie ten twój upór i zawziętość w dążeniu do celu. Serio! Ciągłe tylko „ja sama, ja sama”! Ale ma to również swoje dobre strony. Jesteś nie do zdarcia – skwitowała Gosia.

Chciałam jej odpowiedzieć, że trochę jednak można mnie zedrzeć, szczególnie gdy dociska się moją twarz do asfaltu i szoruje nią po nim, ale w tym samym momencie usłyszałam dźwięk telefonu dobiegający z mojej wysłużonej torby. Zanurzyłam w niej dłoń i wyjęłam komórkę. Dzwonił Rafał, mój były mąż. Ten sam, który z taką namiętnością rzucał mną po ścianach naszego domu i który potrafił obudzić mnie w środku nocy i kazać tłumaczyć się z tego, dlaczego wróciłam osiem minut później, niż powinnam. A wiedział o tym, ponieważ zamontował kamery, które śledziły każdy mój ruch. Owszem, czułam się jak więzień. Mój koszmar trwał dwadzieścia trzy miesiące, dwa tygodnie i pięć dni. Zaokrąglając, dwa lata. Kiedy patrzyłam na wyświetlacz telefonu, pierwsza rzecz, jaką miałam ochotę zrobić, to nacisnąć na czerwoną słuchawkę, ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. Odebrałam.

– Halo.

– Jeśli chcesz, możesz zabrać Zosię na weekend – usłyszałam głos Rafała i po prostu mnie zatkało.

Popatrzyłam na Goškę z otwartymi ustami, a ona swoim radarem od razu wyczuła, że stało się właśnie coś, co nie

miało prawa się stać, dlatego zjechała na pobocze i w niemym oczekiwaniu na jakąkolwiek informację wlepiła we mnie swoje niebieskie oczy.

– Na weekend? Jutro? Na dwa dni? Naprawdę mogę? – dopytywałam, gdy już byłam w stanie wydobyć z siebie głos.

– Czy ja po chińsku mówię? Zabierzesz ją jutro, a odpowiesz w niedzielę. Zrozumiano? No chyba że nie chcesz się zobaczyć z własnym dzieckiem. – Jego głos brzmiał tak jak zawsze, czyli jak rozkaz.

– Ale...

– Pytam, czy zrozumiano! – warknął na mnie. Byłam pewna, że zrobił to tylko po to, żeby mnie upokorzyć. Pewne nawyki pozostają już na zawsze.

– Ale przecież ja...

– Jak widać, nie można być dla ciebie za dobrym – mówił poirytowany. – Nie było tematu.

– Zrozumiałam! Przyjadę po nią! – odpowiedziałam natychmiast, nie chcąc go drażnić. To tylko słowa. Jeśli on chce je usłyszeć, a ja dzięki temu będę miała córkę dla siebie na cały weekend, proszę bardzo, panie kapitanie, wszystko rozumiałam.

Rafał zakończył rozmowę krótkim „cześć”, które brzmiało raczej jak obelga wymierzona w moją stronę, a ja gapiłam się na telefon. Byłam w szoku i kręciło mi się w głowie. Ale to było takie przyjemne uczucie. Miałam wrażenie, że za moment odfrunę z fotela, taka lekka się czułam.

– Co jest? – spytała Gosia, co przypomniało mi o jej istnieniu.

– Rafał powiedział, że mogę zabrać Zosię na weekend. – Popatrzyłam na przyjaciółkę, mając świadomość, że ona rozumie z tego tyle samo co ja. Czyli nic.

– Z noclegiem? Możesz zabrać Zosię na noc? I on ci na to pozwala? Tak nagle? Przecież sąd nie wyraził na to zgody. Mało tego, sama wiele razy prosiłaś o to Rafała i zawsze był przeciwny. Nic z tego nie rozumiem. – Gosia chyba byłaby mniej zdziwiona, gdyby teraz przed naszym autem przemarszerował sznur krasnoludków z Królowną Śnieżką na czele.

– Ja też nic z tego nie rozumiem, ale nie mam zamiaru się nad tym zastanawiać.

Czułam, jak moje ciało przepełnia niesamowita energia. Gdyby dali mi teraz taczkę i położyli na niej góry, Tatry chociażby, to przewiozłabym je nad morze. Oczywiście wiedziałam, że nie zmieściłyby się na tej taczce, ale kto zabroni mi mieć swoje własne metafory na każdą okazję? No kto? Nikt.

– Anieli, to mi się nie podoba – powiedziała Gosia, jak zwykle podejrzliwa w stosunku do Rafała.

Najgorsze było to, że obie wiedziałyśmy, że ta podejrzliwość jest jak najbardziej wskazana, tylko że ja w tym momencie chciałam być ślepa i głucha na wszelkie ostrzeżenia. A tej czerwonej lampki ostrzegawczej, która migotała w mojej głowie, wcale nie widziałam. Wcale.

– To przepraszam, co twoim zdaniem mam zrobić? Odmówić? – spytałam, a w moich oczach zaczęły zbierać łzy. – Błagam, nie każ mi tego robić, bo się zaraz poryczę – powiedziałam i pociągnęłam kilkukrotnie nosem. Za późno. Już ryczałam.

– No a co z pracą? – spytała Gosia, podając mi chusteczkę. – Ustaliliśmy z Braunem, że będziesz miała jeden wolny weekend w miesiącu i jeśli będzie taka potrzeba, on na ten czas będzie miał załatwioną opiekę. Zgodziłaś się. A ty już jutro chcesz mieć wolne?

– Zgodziłam się, ponieważ sąd na podstawie zeznań ludzi... Przepraszam – poprawiłam się i w międzyczasie wydmuchałam nos w chusteczkę – na podstawie kłamstw ludzi, których uważałam za przyjaciół, uznał mnie za psychopatkę i pozwolił widywać się z własnym dzieckiem tylko raz w miesiącu, i to pod nadzorem, więc nie sądziłam, że to się w jakiś magiczny sposób zmieni w najbliższym czasie. Gośka! – uniosłam załkany głos. – Ja nie mogę odmówić! Ona będzie ze mną spała! Rozumiesz? Będę mogła ją wykąpać! Będziemy mogły sobie pomalować paznokcie i nie będę czuła na plecach ponaglącego oddechu mojego byłego męża. Porozmawiam z tym Braunem. Na pewno mnie zrozumie. Stracił dziecko, więc powinien wiedzieć, jak bardzo jest to dla mnie ważne. On musi być wyrozumiały! – W moim głosie nie było słycać nadziei. Wybrzmiewała w nim pewnoś, że mężczyzna, u którego będę pracowała przez najbliższy rok, zrozumie moją sytuację.

Przyjaciółka spojrzała na mnie, pokręciła głową, a potem przykryła moją dłoń swoją i powiedziała, że też uważa, że Kamil Braun, pomimo tragedii, jakie go w życiu spotkały, okaże się człowiekiem empatycznym. Miałam świadomość, że powiedziała to tylko dlatego, żeby mnie uspokoić.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Obym się myliła co do Rafała. Oby moje przeczucie okazało się złe. Ale nie potrafię pozbyć się wrażenia, że ten szczur coś kombinuje – powiedziała po chwili Gosia.

Kiwnęłam tylko głową i ponownie utkwiałam wzrok w szybie. Gosia wyczuła, że nie chcę rozmawiać, i pogłośniła radio. Znała mnie tak dobrze. Poznałam ją, kiedy odbywałam praktyki w szpitalu, w którym leżała jej mama. Bardzo żyłam się z panią Danutą, starszą, samotną kobietą, której nikt

nigdy nie odwiedził. A ona nikomu nie chciała powiedzieć, czy ma jakąś rodzinę czy nie. Dopiero gdy poznała mnie lepiej, zaufała mi i się przede mną otworzyła. Powiedziała, że jej jedyna córka postąpiła bardzo nieroztropnie i związała się z jakimś starszym od siebie rozwodnikiem. Świadomie zrezygnowała z posiadania dzieci, a pani Danusia tak bardzo pragnęła mieć wnuki. Pokłóciły się i zerwały kontakt. Długo, naprawdę długo musiałam jej tłumaczyć, że żadne życie nie jest uzależnione od pragnień innych. Że każdy powinien spełniać się wedle swojego uznania i swoich potrzeb. W końcu seniorka poprosiła mnie, żebym zatelefonowała do jej córki.

Dokładnie takich słów użyła:

– Mój aniele, bardzo cię proszę, zatelefonuj do mojej córki. Pora to wreszcie skończyć. Te rodzinne waśnie. Bo na nic się one nikomu nie zdadzą.

Jak się okazało, córka pani Danusi od dłuższego czasu nosiła się z zamiarem odezwania do matki, ale w związku z tym, że zarówno z jednej, jak i z drugiej strony padło wiele przykrych słów, bała się wykonać pierwszy krok. Gdy poznałam Gosię osobiście, miałam wrażenie, że znam ją od zawsze. Zresztą ona powiedziała mi, że z jej perspektywy było identycznie. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, że momentalnie się zaprzyjaźniłyśmy, ale z pełną świadomością mogę powiedzieć, że czekałam na nią całe moje życie.

Z głośnika samochodowego radia dobiegał głos Martyny Jakubowicz, która śpiewała, że w domach z betonu nie ma wolnej miłości.

Miłość? Czym tak naprawdę jest miłość? Czy to bycie ze sobą bez względu na wszystko, jak zwykła mawiać moja była teściowa, która uważała, że kobieta, żeby chodziła jak

w zegarku, powinna raz na jakiś czas dostać po pysku? Patrzyła wtedy na mnie z niechęcią i jestem pewna, że z premedytacją odwoływała się do moich korzeni i przywoływała anegdotę o małym Cyganie, który zawsze przed wyjściem z domu dostawał od ojca baty. Bez względu na to, czy coś przeszkrobał, czy też nie, zawsze dostawał po tyłku. Na zaś, gdyby czasem przyszło mu do głowy coś spsocić. Moja teściowa szczyciła się tym, że nieraz dostała od swojego męża. I co? I dalej ze sobą byli. Ponad czterdzieści lat. Nie rozumiałam tego. Nie pamiętałam mojej mamy, ponieważ zmarła, gdy miałam dwa lata, więc nie wiem, czy ona i tato się kłócili. Ale mój ojciec nigdy nie podniósł na mnie ręki, więc uznałam, że nie mógł być również agresywny w stosunku do niej. Zawsze też mówił, jak bardzo za nią tęskni i jak bardzo ją kochał. Nigdy więcej się nie ożenił. Był bardzo smutnym człowiekiem. Nadużywał alkoholu. Zmarł dwa tygodnie po mojej osiemnastce, zupełnie jakby sobie to zaplanował, tylko poczekał, aż wejdę w dorosłe życie.

Dwa miesiące później poznałam Rafała. Na kilka tygodni przed moimi dziewiętnastymi urodzinami zaszłam w ciążę. Zosia nie była planowana, po prostu się przydarzyła, ale mnóstwo było we mnie wtedy radości. Rafał był siedem lat ode mnie starszy i pracował w wojsku. Miał własny samochód, służbowe mieszkanie i bardzo imponował mi swoją zaradnością. Nie rozumiałam wtedy, dlaczego zwrócił uwagę właśnie na mnie, dziewczynę z ogromnymi problemami emocjonalnymi i jeszcze większymi kompleksami, wywołanymi między innymi tym, że klepaliśmy z tatą biedę. Rafał powiedział mi, że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. Ujęła go moja nietypowa uroda i głos. Wmawiałam sobie, że to na

pewno mama, która była moim aniołem stróżem, sprawiła, że ten cudowny człowiek stanął na mojej drodze.

Jaka ja byłam naiwna. I jak bardzo potrzebowałam mieć w swoim życiu kogoś, kto się mną zaopiekuje. Dla kogo będę ważna. Najważniejsza.

Kiedy Zosia skończyła trzy latka, Rafał uderzył mnie po raz pierwszy. To wydarzyło się w dniu jej urodzin. Przyszli do nas goście, aby wspólnie świętować. To byli ludzie, których poznałam dzięki niemu. Rafał nie przepadał za moimi koleżankami ze studiów i ze szpitala, więc ograniczałam te znajomości do minimum. Można nawet powiedzieć, że uchodziłam w grupie za odludka, ponieważ ilekroć ludzie z roku szli na imprezę, ja mówiłam, że nie mam czasu. W pewnym momencie przestali mi cokolwiek proponować. Czy było mi z tym źle? Nie, bo miałam Rafała i jego znajomych. On bardzo często mówił, że zna tyle cudownych osób, że na pewno znajdę wśród nich przyjaciół. I owszem, pojawili się w moim życiu wspaniali na pozór ludzie, ale później okazało się, że nie byli prawdziwymi przyjaciółmi.

Dlaczego Rafał mnie uderzył? Ponieważ ubzdurał sobie, że flirtowałam z Adrianem, naszym sąsiadem, co nie było prawdą. Ale po kolei. Siedzieliśmy przy stole. To znaczy mój mąż i nasi goście siedzieli, bo ja co chwilę coś donosiłam. No dobrze, tak naprawdę to więcej czasu spędziłam w kuchni na krojeniu, podgrzewaniu i przygotowywaniu posiłków niż ze wszystkimi przy stole. Nie miałam nawet chwili na zastanowienie się nad tym, czy to mi przeszkadza. Byłam żoną i miałam swoje obowiązki. Bardzo chciałam, żeby Rafał był ze mnie zadowolony i żeby mógł pochwalić się mną przed kolegami i swoją rodziną. Żeby był ze mnie dumny. Adrian przyszedł do nas sam, ponieważ jego żona była chora.

Wszedł do kuchni i poprosił o kawę. Nie wyszedł, tylko czekał, aż ją przygotuję. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, żartowaliśmy. Miałam wrażenie, że spędził ze mną o wiele więcej czasu, niż początkowo zakładał. Nie było w tym nic zdrożnego. Tak przynajmniej wtedy uważałam. Kiedy goście wyszli, Rafał wyprowadził mnie z błędu. Nie wiedziałam tylko, czy powinnam być mu wdzięczna, że poczekał z biciem, aż uśpię Zosię. Tak naprawdę to przez cały ten czas nigdy nie uderzył mnie przy naszej córce. To à propos szukania szczęścia w nieszczęściu.

Mój mąż siedział w salonie i oglądał telewizję. Gdy Zosia zasnęła po całym dniu wrażeń, poszłam do łazienki, żeby się wykapać. Kiedy przyszłam do Rafała, miałam na sobie seksowny komplet bielizny. Chciałam usiąść mu na kolanach, ale on mnie odepchnął.

– Dla kogo założyłaś te szmaty? – zapytał mnie głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszałam. Wystraszyłam się, co było jak najbardziej prawidłową reakcją. Tylko że jeszcze tego wtedy nie wiedziałam.

– Co ty...

– Zamknij mordę! – syknął, błyskawicznie wstał z fotela i podszedł do mnie.

Czuć było od niego alkohol. Człowiek, którego kochałam najbardziej na świecie, uderzył mnie w twarz. Nawet nie zabolalo. To było tak zaskakujące i niespodziewane, że nie byłam w stanie nazwać tego uczucia. Patrzyłam na niego, kompletnie nic nie rozumiejąc. Po prostu stałam i się gapiłam. Rafał nazwał mnie dziwką, ponownie uderzył i powiedział, że nie życzy sobie, żebym jeszcze kiedykolwiek rozmawiała z Adrianem i go prowokowała. Poszedł spać, a ja ze strachu bałam się wejść do sypialni, więc położyłam się

na dywanie w pokoju Zosi i przykryłam jej kocykiem. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że w pokoju córeczki mogę czuć się bezpiecznie. Bardzo długo nie mogłam zasnąć przez strach i natłok myśli. Nie miałam pojęcia, co mnie czeka następnego dnia. Układałam sobie w głowie rozmowę, jaką przeprowadzę z Rafałem. Krzyczałam na niego. Żądałam wyjaśnień i przeprosin. W końcu jednak zmęczenie było tak duże, że sen mnie zmorzył. Rano obudziłam się w naszym łóżku, wtulona w mojego męża. W pierwszym odruchu odetchnęłam z ulgą, myśląc, że to pobicie to był tylko zły sen. Jednak po chwili zaczęłam odczuwać efekty tego „snu”. Bardzo bolał mnie policzek, a emocje, które ogarnęły mnie poprzedniego wieczora, zaczęły o sobie przypominać. Bałam się poruszyć, nie wspominając o głośniejszym oddychaniu.

Byłam kompletnie zdezorientowana. Leżałam jak kłoda i czekałam, sama nie wiem na co. Może na koniec świata? A może na to, żeby ktoś cofnął czas i żeby jednak nie zrobiła Adrianowi tej kawy?

Gdy Rafał się obudził, zaczął mnie całować. Po chwili kochaliśmy się ze sobą, a ja miałam wrażenie, że w ten sposób chce mnie przeprosić. Kiedy skończyliśmy, pocałował mnie w czoło i poszedł pod prysznic. Czekałam cały dzień, aż on zacznie mówić o tym, co się wydarzyło poprzedniego wieczora, ale nic takiego się nie stało. Bałam się, że jeśli ja do tego nawiążę, wszystko popsuję. Przeszliśmy nad tą sytuacją do porządku dziennego, a ja uznałam, że to zdarzyło się tylko raz i że ktoś, kto kilka godzin temu kochał się ze mną tak czule i przed momentem przyniósł mi piękny bukiet czerwonych róż, już więcej mnie nie skrzywdzi. Że to tylko ten jeden raz mojego męża dopadła taka słabość. Bo przecież zazdrość w związku to coś normalnego. Zaczęłam się nawet

zastanawiać nad tym, że może naprawdę prowokowałam Ad-
riana i zachowanie Rafała było uzasadnione.

– Jesteśmy na miejscu. – Głos Gosi wyrwał mnie z zadu-
my. To może i dobrze, bo takie grzebanie w przeszłości nie
było mi potrzebne.

Moja przyjaciółka zatrzymała samochód przed niedużym,
bardzo zadbanym domem w typie siedliska. Ja i tata miesz-
kaliśmy w podobnym. Z jednego pokoju można było przejść
do następnego i tak dalej, aż wróciło się do tego pierwszego.
Różnica była tylko taka, że nasz dom to była rudera, bez ka-
nalizacji, ciepłej wody, z przeciekającym dachem i powybi-
janymi szybami. Myłam się w misce, a zimą swoje potrzeby
załatwiałam do wiadra, co było jedną z wielu przyczyn mo-
jego kompleksu, który również wiele lat później wykorzystał
Rafał, gdy ze mnie sztydził.

– Jaki piękny – zachwyciła się Gosia.

Nie dziwiłam się jej. To miejsce wyglądało jak z bajki,
a już na pewno jak z jakiejś sielskiej, romantycznej opowie-
ści, w której to para zakochanych właśnie siedzi w środku,
trzyma się za dłonie i patrzy sobie głęboko w oczy.

Chciałam zobaczyć tych szczęśliwych ludzi. Chciałam
być szczęśliwa i mieszkać w takim miejscu.

Ściany domu były z czerwonej cegły. Na ulicę wychodziły
dwa okna i staromodny drewniany ganek w zielonym kolorze.
Okiennice miały identyczny kolor. Przed domem, od strony
ulicy znajdował się ogródek, który okalał uroczy, drewnia-
ny płot. Pierwsze kwiaty zdążyły już zakwitnąć, ale to nic
w porównaniu z tym, co za chwilę miało nadejść. Majowe
słońce muskało swoimi promieniami całą roślinność. Do
jednej ze ścian przytulone były wielkie bzy. Uwielbiałam bzy.
Tak pięknie pachniały. Te tutaj były białe, fioletowe i różowe.

Aż mnie korciło, żeby podejść i zerwać kilka gałązek, które włożyłabym do pękatego słoika. Albo butelki. Razem z Gosią, której buzia się nie zamykała, weszłyśmy na podwórko. Przód budynku miejscami porośnięty był bluszczem, a dwie ogromne akacje, które stały przed schodami, wyglądały tak, jakby były strażnikami tego miejsca. Pomyślałam sobie, że tutaj musi mieszkać wyrozumiały człowiek. Z tym jakże optymistycznym nastawieniem ruszyłam w stronę domu.

Hen, ku rozczarowaniu.



SPIS TREŚCI

Okładka	
Strona przedtytułowa	1
Strona tytułowa	2
Cytat	3
Wstęp	4
Rozdział pierwszy	5
Rozdział drugi	18
Rozdział trzeci	34
Rozdział czwarty	46
Rozdział piąty	56
Rozdział szósty	74
Rozdział siódmy	93
Rozdział ósmy	105
Rozdział dziewiąty	116
Rozdział dziesiąty	136
Rozdział jedenasty	146
Rozdział dwunasty	157
Rozdział trzynasty	165
Rozdział czternasty	173
Rozdział piętnasty	184
Rozdział szesnasty	195
Rozdział siedemnasty	204
Rozdział osiemnasty	213
Rozdział dziewiętnasty	222

Rozdział dwudziesty	231
Rozdział dwudziesty pierwszy	240
Rozdział dwudziesty drugi	249
Rozdział dwudziesty trzeci	255
Rozdział dwudziesty czwarty	262
Rozdział dwudziesty piąty	267
Rozdział dwudziesty szósty	276
Epilog	279
Strona redakcyjna	280
Inne książki Izy Maciejewskiej	283